

Nie wiem, czy dolecę tam, gdzie marzę
Jeśli spadnę, usłyszysz o mnie dziś
Mam bardzo ciężką kieszeń, pełną barier
Pełną zmartwień, to nie pomoże mi
Biegnę do krawędzi, stracą wiarę we mnie
Ci, co nigdy jej nie mieli, a kochali flesze
Zawsze muszę wierzyć w swoje skrzydła
Że naprawdę, że mogę z tego wyjść

Twarz osoby jak smak wody się docenia, kiedy nocą już szampany powylewasz
Wokół maski i ozdoby do ostatniej kropli, nagle ich nie ma
Hah, czekaj, nie mam po co się spieszyć teraz
Myśli płoszą się bez znaczenia nad głową, gdy gadam nad ranem ze sobą
Nie poniósł mnie melanż tym razem, to miasto jest szare jak ja
Pocięte i zszyte jak przeszłość i czas, młode i stare jak ja
Nie chcę wydarzeń, już mam pełną pamięć, a jeszcze niecałe trzydzieści lat
Wypchane myślami, że nie chcę już trwać, jak autobus, co wiezie na pierwszą
ze zmian
Wspomnienia zapętlam jak w starych piosenkach, odwiedzam te miejsca ostatnie
jak wiatr
Reszta napędza, świat tani jak barszcz, tylko my sami i strach
Para z herbaty układa się w plan, wisi nad nami ten czas
Opuszczam program seriali i kłamstw, lecę do gwiazd

Bo dotarłem do granic
Jak poradzić sobie, nie ma już nic dalej
Muszę skoczyć, nagle zniknąć w oddali
Wznieść się, albo być na dnie, Boże...

Nie wiem, czy dolecę tam, gdzie marzę
Jeśli spadnę, usłyszysz o mnie dziś
Mam bardzo ciężką kieszeń, pełną barier
Pełną zmartwień, to nie pomoże mi
Biegnę do krawędzi, stracą wiarę we mnie
Ci, co nigdy jej nie mieli, a kochali flesze
Zawsze muszę wierzyć w swoje skrzydła
Że naprawdę, że mogę z tego wyjść
Nie wiem, czy dolecę tam, gdzie marzę
Jeśli spadnę, usłyszysz o mnie dziś
Mam bardzo ciężką kieszeń, pełną barier
Pełną zmartwień, to nie pomoże mi
Biegnę do krawędzi, stracą wiarę we mnie
Ci, co nigdy jej nie mieli, a kochali flesze
Zawsze muszę wierzyć w swoje skrzydła
Że naprawdę, że mogę z tego wyjść

Luty dwudziesty dziewiąty
To święto mojej słabości
Przegrałem już tyle wojen
Tyle mam sznyt już na sobie i w głowie
Nie cofnę tego co boli, musiałbym wyzbyć się dorosłości
Ogień wciąż płonie, choć ostygł, wyparowałem z litości od bodźców
Nie jestem już nowy, mam tylko po sobie te lata historii - są bezwartościowe
Gdy mam ich, aż tyle, a żadnej nie skończę, więc biegnę, gdzie mogę
Gdzie góry i las, czas odbyć rozmowę, jak który to ja?
Jak który to z nas i kogo to czas? dobra, czy zła?
Ta linia tam jest i lewą nogę mi pali do cna, siarka i gniew

Przepych i śmierć, prawa chce biec tam, gdzie jest światło i sen
Ta linia tam jest, ciągle rozdziera mnie czas, rozdziera jak świat
Pluje i warczy, wyzywa od szmat
A mówi, że to tylko śmiech
Swe skrzydła prostuję, są stare i twarde jak pień, leć

Nie wiem, czy dolecę tam, gdzie marzę
Jeśli spadnę, usłyszysz o mnie dziś
Mam bardzo ciężką kieszęń, pełną barier
Pełną zmartwień, to nie pomoże mi
Biegnę do krawędzi, stracą wiarę we mnie
Ci, co nigdy jej nie mieli, a kochali flesze
Zawsze muszę wierzyć w swoje skrzydła
Że naprawdę, że mogę z tego wyjść